



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
p cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Św. Marcin sypnął śniegiem, ale tylko na pokaz; przegalopował na swoim białym koniu i mignął się tylko w oczach; na kwaterze nie został, więc zima załogą jeszcze nie stanęła, placówek swoich nie pozaciągała, białej chorągwi swej nie rozwinęła; mamy zawsze jeszcze jakieś wrażenia chmurnej, szarej, posępnej jesieni, która się przeciąga i odejść nie chce.

Nie wiem, jakie tam wróżby znaleziono w pierśsiach zarzniętych gęsi co do przyszłej zimy w tym roku, ale przypuszczam, że w czasach rozmaitych krańcówości, po gorącym, zapogodnem i wyjątkowo pięknem lecie przyjdzie zima ostra, biała, śnieżna i mroźna dla kontrastu.

Przydałyby się nawet wcześniejsze, niż zwykle, mrozy, aby powstrzymały szerzącą się po Warszawie ospę, o której coraz groźniejsze zachynają krząć wieści.

W dwóch tygodniach zachorowało kilkaset osób, a zmarło przeszło osmdziesiąt.

Komitet sanitarny orzekł wprawdzie, iż dotychczas ospa nie dosięgła jeszcze rozmiarów groźniej epidemii, ale uznał za stosowne wprowadzić i zalecić energiczne środki w celu stłumienia lub ograniczenia przynajmniej zarazy.

Jednym z pierwszych warunków zabezpieczenia się przed epidemią jest ochronne szczepienie, któremu poddawać się powinny zarówno dzieci, jak osoby starsze.

W tym wypadku nie szkodzi, że „strach ma wielkie oczy“, że w zbytnej ostrożności przesadzają niektórzy, zwłaszcza kobiety; bez tego moralnego nacisku nie dałyby się szczepić tak chętnie i tak szybko, a wszystkie sanitarne

przepisy pozostałyby dla nich martwą literą, gdyby nie obawa przed chorobą, która jeśli nie zabija, to oszpeca.

Ta druga ewentualność bodaj czy nie straszniejsza się wydaje od pierwszej dla płci pięknej, dbałej o swoje wdzięki niekiedy więcej, niż o życie...

Próżność pomaga w tym razie celowi ogólnego dobra i nie można jej brać wyjątkowo za złe kobietom; niechaj szczepią się z jakiegokolwiek chęcią powodów, ale niechaj się zabezpieczają przed chorobą, której rozwój fatalnymi grozi skutkami.

Dla tej próżności medycyna zrobiła w ostatnich czasach ustępstwo od zwyczaju; dotąd szczepiono ospę na ramieniu.

Piękne panie dbając o nieskałaną czystość, białość i kształtność swoich ramion, zaczęły uważać ten gwiazdkowy znaczek na swej aksamitnej skórcie za coś wielce nieestetycznego, za rodzaj piętna, które przy balowej toalecie razi oczy ich wielbieli.

I zaczęły się szczepić na nodze.

Szczegół to drobny, ale charakterystyczny, po którym do pewnego stopnia da się wnioskować o próżności panien i mężatek; mniej zważające na takie estetyczne subtelności owych wdzyków dadzą się starym i podobno lepszym zwyczajem szczepić na ramieniu; drażliwsze uciekną się do drugiego sposobu szczepienia i poświęcą nogę dla tej operacji.

Komitet sanitarny nie wchodzi w te drobiazgi, zaleca tylko ogólną rewakcynację i ostrożność, aby się zarazki epidemiczne nie rozszerzały po mieście.

Ważnem postanowieniem komisji jest założenie miejskiej kamery dezynfekcyjnej, o którą swego czasu upominały się nasze pisma, a bez której trudno zwalczać skutecznie choroby zaraźliwe. Ach, zwłaszcza u nas, gdzie przeciętne pojęcie

czystości i porządku jest jeszcze, niestety, bardzo względne i bardzo ograniczone.

Co za szkoda, że nam natura nie dała własności i przymiotów wodnego ptactwa, które się instynktownie myje, czyści, oskubuje i dba o swoje pióra nieustannie, a przechodzi przez błoto, nie walając się, jak to czynią ludzie.

Lada kaczka lub gęś, nie wspominając już o łabędziach, bywa czystsza od człowieka i posiada wrodzoną cnotę, którą nam w sobie tak trudno przychodzi zaszczepić.

Wzmianka o gęsi, spotwarzanej pod względem inteligencji przez tyle wieków, przypomina mi artykuł jakiegoś Niemca, który z powodu rzezi dorocznej tych smacznych ptaków w dniu św. Marcina opisał w jednym z berlińskich dzienników wruszającą historią gęsi zakochanej... w pruskim dragonie.

Działo się to, według zapewnienia autora nad Nekarem, w sentymentalnej Szwabii, w miasteczku Esslingen, roku 1833-go.

Młoda gaska pewnego piekarza zobaczyła raz żołnierza stojącego na warcie przy koszarach kawaleryi i zapalała do niego tak gorącym uczuciem, że go na krok już odstępować nie chciała. Całe dnie spędzała przy budce sztyldwacha, nie dając się odpędzić, a kiedy budkę przeniesiono na dziedziniec koszarowy, zakochana gaska wcisnęła się aż tam i pozostała wierną swemu ideałowi.

Pułkownik, widząc tak niezwykle jej przywiązanie, odkupił ją od właściciela, kazał postawić dla niej duży kojec i zamianował ją „córka pułku“.

Pułkowa gęś trzymała się odtąd koszar i nabrała tak militarnych przyzwyczajęń, że odbywała wartę razem z żołnierzami, nie pozwalając żadnemu cywilusowi zbliżyć się zanadto do sztyldwacha; skubała po nogach, machała skrzydłami i gęgała z wielką passją na wszystkich, co nie nosili munduru.

Razem z pułkiem przeniosła się z Esslingen do Ludwigsburga, a gdy wojsko wychodziło na ćwiczenia w pole, gęś widocznie tęskniła i szukała pocieszenia u innych sztyldwachów w mieście; za to z najżywszą radością maszerowała przed frontem przy odgłosie muzyki i bębnow, gdy pułk powracał do miasta.

Z Ludwigsburga przeniosła się znowu z załogą do Ulmu i tam spełniała swoją służbę z zapalem, jakiego po prostej gęsi nigdyby się nie można było spodziewać.

Nie istniał dla niej świat poza koszarami, lecz widok żołnierzy w zachwyt ją wprawiał; z innymi gęsiami nie chciała żadnych zawiązywać stosunków, gardziła rodem cywilnych gąsek i w swoim militarnym żywiole spędziła lat dwadzieścia.

W roku 1853-im padła na stanowisku przy budce sztyldwacha, a całe miasto i cały pułk w wielkiej żalobie po tej stracie byli pogrążeni.

Dzieje tej gęskiej miłości i wierności opiewano w Niemczech nie tylko prozą, ale i wierszami swojego czasu. Nie zaćmiło jej sławy nawet samobójstwo, jedyne może w swoim rodzaju, jakieś belgijskiej gęsi, która po śmierci swego pana i karmiciela w okolicy Charleroi, zagrzebała się w śmietniku, nie chciała przyjmować żadnego pożywienia i z żalu, po dwudniowym poście zgłodziła się z rozpacz.

Oba te fakta opisują z całą powagą kroniki współczesne, a psychologia gęsi zwróciła uwagę naturalistów niemieckich, którzy z niemiecką drobnostkowością rozczulają się nad tą wrażliwością gęskiego serca.

Nie śmiem kwestyonować tak poważnych faktów, któreby zresztą nie miały w sobie nic nieprawdopodobnego; obawiam się tylko, czy na kształt genezy wielu podań, owa historia o szwabskiej gęsce znad Nekar, co taką miłością aż do zgonu pałała dla dzielnych synów Marsa, nie była przypadkiem przenośnią i czy zamiast gęsi nie dotyczyła wprost romansowej córeczki jakiego piekarsza z Esslingen...

Spędziłem kilka dni teraz w Berlinie i miałem sposobność przypatrzeć się tam temu kultowi dla militarysty, który zdaje się być *alfą* i *omegą* ideałów, dążeń i celów dzisiejszych Niemiec.

Od bombonierek w kształcie junkierskiej czapki do samych junkrów w żywej osobie, od junkrów *in persona* do armat Kruppa, spotyka się wszędzie ów wyciśnięty gwałtem charakter militarny, mundurowy, zbrojny, obozowy, — mimo to, że w ostatnich dziesięciu latach stolica nad Sprewą zmieniła się niemal doniepoznania, nabrała szyku, elegancji, wytworności i sympatyczniejszej fizjonomii.

Stary Berlin, ze swym koszarowym wyglądem, z czasów Fryderyka Wielkiego, z tą kaprałską swoją sztywnością, nieokrzesany, mrukiwy, nie miły w wejrzenia, zginął gdzieś bez śladu; kaprał awansował na junkra z monoklem w oku, z wciętą talią, w nowym świeżutkim mundurze, z podkręconymi zalotnie wąsikami, a chociaż wszystkimi sposobami chce być niemieckim i wystrzeżę się bardziej, niż grzechu śmiertelnego, zetknięcia z Francją, mimo to, bezwiednie ulega na każdym kroku jej wpływom i robi się, wbrew swoim chęciom, podobnym do Paryża.

To podobieństwo właśnie, którego się tak zarzeka, stanowi dziś dodatnią różnicę, jaką spotyka ze zdziwieniem podróżny, przybywający po kilkunastu latach do tegosamego Berlina, który wówczas wydawał mu się nieznośnym i brzydkiem.

Z pewną dumą i chępliwością sami Berlińczycy akcentują przy nadarzonej okazji tę różnicę i pytają:

— Prawda, jakeśmy się zmienili?.. do niepoznania!..

I trudno nie przyznać im słuszności.

Nie mam zamiaru, zamiast kroniki, spisywać tutaj swoich wrażeń z wycieczki nad Sprewę, ale zawadzwszy mimochodem o stolicę niemieckiego państwa, która coraz więcej zdobywa praw do nazwy *Weltstadt*, muszę wyrazić zdziwienie z powodu mnogości Polaków, jacy dziś Berlin zamieszkują.

Na półtora milionową blisko ludność jest ich tam czterdzieści kilka tysięcy w różnych sferach

towarzyskich i społecznych; nader zajmujące byłoby inne daty i szczegóły, dotyczące tego żywiołu, zatopionego, jak owad w bursztynie, w samem centrum germanizmu pod argusowem okiem żelaznego księcia.

Istnieją stowarzyszenia, kluby, szkółki i ochrony polskie, o których wartoby było dowiedzieć się czegoś więcej od osób obeznanych z tamczymi stosunkami.

Za mało miałem czasu, aby zebrać materyał na miejscu, ale poczyniłem starania, by go pozyskać, a wtedy podzielię się nim z moimi czytelnikami.

Kiedy człowiek po kilkudniowej choćby niebytności powraca do Warszawy, zawsze mu się wydaje, że zastaje jakieś zmiany i natrafia na coś nowego.

Dla mnie nowością tym razem była wystawa sztuki i starożytności, otwarta w Muzeum przemysłu i rolnictwa; jest ona trzecią, czy czwartą z rzędu w Warszawie w przeciągu lat trzydziestu.

Pod względem ilości i jakości okazów przewyższa atoli wszystkie dotychczasowe; komitet pracował usilnie, starannie, energicznie, aby zebrać około 3.000 przedmiotów artystycznej lub pamiątkowej wartości, przetrzebił niemal wszystkie publiczne i prywatne zbiory, pościągał stare zbroje, meble, dzieła sztuki, numizmaty, wykopaliska, brzozy, srebra, porcelany, marmury, gobeliny, ugrupował to wszystko z pewnym ładem i z wielkim smakiem, skatalogował i wystawił na widok publiczny.

Jest na co patrzeć i co podziwiać, a dla znawcy i amatora sale Muzeum przy Krakowskim Przedmieściu zamieniły się w istny skarbiec, w którym można od początku do wieczora przebywać i robić studia zajmujące.

Nie miałem dotąd czasu rozejrzeć się szczegółowo w tej massie, ale z podziwem zauważyłem, że mamy w swoim posiadaniu wprawdzie szczątki tylko pięknych i cennych zabytków, ale szczątki wspaniałe. Nie dziwię się też, iż jak kruki żerujące, od pierwszego dnia otwarcia wystawy, krążyć zaczęli agenci zagraniczni i miejscowi około Muzeum, pragnąc nabywać piękniejsze okazy.

Nie brak także amatorów, którzy radziby swoje zbiory wzbogacić nie jednym przedmiotem rzadkiej wartości, ale po większej części szczęśliwi posiadacze nie mają zamiaru pozbywać się swej własności.

Na to zawsze jeszcze dość czasu pozostanie.

Szczególniej należałoby się opierać pokuszeniom zagranicznych handlarzy, którzy i tak nie mało już od nas łupów wywieźli i wyborne na naszej niepraktyczności lub na naszym nieznanstwie interessa porobili.

Trzeba pamiętać, że cokolwiek z takich zabytków przeszłości dostanie się raz zagranicę, to uważać należy za przepadłe nazawsze; nie wraca to już prawie nigdy do nas, a jeżeli wraca, to przepłacone drogo.

Zazwyczaj podczas każdej takiej wystawy u nas odzywają się głosy utyskujące, że, niestety, nie mamy własnego muzeum sztuki i starożytności na wzór innych wielkich miast w Europie.

Rozbrzmiewa w tych skargach piękny frazes, który nie liczy się z rzeczywistością i nie opiera na faktycznym gruncie.

Zkąd wziąć fundusze na założenie takiego muzeum, które wymaga krociowych kapitałów?... gdzie znaleźć odpowiednie i pewne pomieszczenie z tą gwarancją, że zbiorów publicznych nie trzeba będzie ruszać z miejsca i przenosić?... w jaki sposób zabezpieczyć takiemu Muzeum dalszy rozwój, konserwacją i opieką należną?..

Wszystkie projekta pod tym względem są utopią, marzeniem, majaczeniem ideologów, którzy się nie liczą z rzeczywistością i z warunkami bieżącej chwili.

Zresztą, tyle innych potrzebniejszych instytucji przydałoby się nam w Warszawie, tyle innych celów publicznych wyczekuje wynalezienia środków i źródeł, że gdyby nawet była możność, gdyby się nawet znalazły fundusze na założenie takiego publicznego skarbcza starych zabytków i pięknych dzieł, należałoby wpierv zastanowić się nad tem, co właściwsze i co pożyteczniejsze

dla nas być może od Muzeum sztuki i starożytności.

Z tego względu muszą nam wystarczać od czasu do czasu urządzone wystawy, po których zbierane katalogi i opisy stanowią jakby inwentarz tego, co się jeszcze z przeszłości przechowało w rozproszeniu.

Wartoby było postarać się o takie szczegółowe sprawozdanie i z tej ostatniej wystawy, która więcej od innych przedstawia materyał.

Nasze ilustracje mogłyby oddać przysługę takiemu wydawnictwu, zamieszczając podobizny ważniejszych okazów, zamiast, wszystkich owych ogólnych widoków, nie dających czytelnikom należytego wyobrażenia, ani o całości, ani o szczegółach wystawy; następnie dałyby się tesame klisze zużytkować w osobno drukowanem sprawozdaniu.

Pora jesienna skupiła znowu nasze towarzystwo i ożywiła ruch w rozmaitych kierunkach pięknej i artystycznej Warszawy, żyjącej wrażeniami; zaczął się znowu szereg rautów, wieczorów, koncertów, jour-fixów.

Srody w Towarzystwie Muzycznym i Soboty w Towarzystwie Wioślarskiem gromadzą liczną publiczność; muzyka, teatru amatorskie i tańce wypełniają programat tych zebrań, na których dobry humor, pomimo ciężkich czasów, nie zawodzi.

Na Adwent przygotowują się znowu rozmaite filantropijne sensacje.

Dr. Fritsche, niezmordowany opiekun kolonii letnich dla słabowitych dzieci, zbiera już gorliwie adresy kupców i układa listę dam, które w tygodniu poświętęcznym przyjąć mają udział w ruchomym bazarze i dyżuować po sklepach.

Zeszłoroczne rezultaty dowiodły, że pomysł d-ra Fritschego był równie prostym, jak praktycznym, a dla celu zamierzonego nader korzystnym; bez wielkich zachodów, bez długich przygotowań, narad, komitetów — zdołano osiągnąć spory fundusz z odsetek, ofiarowanych przez kupców, którzy bardzo chętnie godzą się na ten drobny haracz w widokach własnych zysków.

Dowiedzioną bowiem jest rzeczą, że udział pięknych kupcowych w sprzedaży detalicznej po sklepach przyczynia się stanowczo do zwiększenia targu i obytu, ściąga znaczniejszą klientelę i jest w swoim rodzaju reklamą dla firm handlowych.

Dla publiczności zaś nadarza się bardzo łatwa sposobność pogodzenia tanim kosztem dwóch celów i dwóch interesów: własnego z filantropijnym. Wchodzisz do sklepu jako zwyczajny gość, kupujesz co ci się podoba za zwyczajną cenę, nie potrzebujesz niczego przepłacać, nikt od ciebie nadatków nie wymaga, masz przyjemność porozmawiania i pożartowania ze znajomymi damami, nie obowiązuje cię wizyta w sąsiednim baraku czy namiocie, jak na naszych dobroczynnych „kiermaszach“ i „gwiazdkach“, spełniłeś dobry uczynek i niewiele cię to kosztowało.

Stanowczo pomysł dobry i praktyczny.

Czemu to nasze Towarzystwo Dobroczynności nie może pozbyć się swojej skostniałej rutyny i zardzewiałego szablonu; poza bazarem i gwiazdką nie widzi nic dla siebie lepszego, nie może się zdobyć ani na nowy pomysł, ani na koncept dowcipniejszy, a tych, którzyby świeższą głową pomódz mogli i większą energią pomagać chcieli, odsuwa i pozbywa się, dla Bóg wie jakich przyczyn?

Z tego względu będziemy tedy widzieli znowu w tym roku nieśmiertelną „gwiazdkę“, która już tyle razy błyszczała pod godłem: *Res sacra miser* i będziemy się pytali słowami starej piosenki: „Czemuż, czemu, gwiazdko mała, twój promyczek zbladł?“

Publiczność warszawska to dobre i łatwe do zabawienia dziecko, ale trzeba je zajmować nowymi cackami i wabikami; zawsze tesame namioty w tejsamej sali, z temisamymi sklepami, z temi samymi damami, z tymisamym koncertem Lewandowskiego lub Sonnenfelda, i sztukami domorosłych magików w rodzaju p. Rybki, to się już opatrzyło, przejadło, spowszedniało.

Panowie z Dobroczynności bawią się może do- brze przy urządzaniu takich bazarów, przyzw- wy-

czajenie wreszcie staje się drugą naturą, ale w dzisiejszych czasach, niestety, nawet filantropia musi mieć oryginalne inwencje i odnawiać je, jeśli chce wypełniać swoją skarboneę.

Oto: artyści nasi, rozumieją to dobrze, spozstrzegłszy się, że doroczne wystawy szkiców tracą swą siłę przyciągającą, postanowili w tym roku dodać im nowego wabika. Zamiast zwykłej wystawy urządzają w salonach p. Krywultra w hotelu Europejskim „Pracownią malarską“.

Za tło do rozwieszenia szkiców posłużą ściany gustownie urządzonego atelier ze stalugami, manekinami, przyborami do malowania, obwieszonych makatami, ozdobionego kwiatami, a kto wie czy i „prawdziwy“ artysta jaki nie będzie w nim robił honorów domu i szkicował na miejscu pięknych Warszawianek, zwiedzających tę zaimprovizowaną pracownię?

Jestem przekonany, że ta innowacja wpłynie korzystnie na ożywienie ruchu wystawowego, zaciekawci, sprowadzi liczniejszą publiczność i przyczyni się do jej zainteresowania.

Przy tej sposobności zwiększą się też widoki rozprzedaży szkiców, która przecież jest głównym celem tej wystawy.

Na zakupywanie wykończonych obrazów nie ma u nas jeszcze wielu amatorów, albo amatorowie nie mają pieniędzy; ale na nabycie ładnego szkicu, który często większą ma wartość artystyczną od skończonego dzieła, zdobyć się potrafi średnio zamożny obywatel, odczuwający już pewne estetyczne potrzeby w urządzeniu swego mieszkania.

Światek nasz muzyczny uczył pięćdziesięciolatek twórczej działalności najcelniejszego z żyjących kompozytorów europejskiej sławy; Józefowi Verdiego wysłano adres z podpisami jego warszawskich wielbicieli, artystów, nauczycieli, literatów i dziennikarzy.

Nadto zeszłej niedzieli w Teatrze Wielkim odbyło się przedstawienie operowe, złożone z wyjątków najcelniejszych dzieł włoskiego mistrza.

Publiczność z zapalem wołała: „*evviva Verdi!*“ jak gdyby te okrzyki na cześć znakomitego twórcy „*Balu maskowego*“, „*Rigoletta*“, „*Trubadura*“, „*Aidy*“, „*Otella*“ i tych innych świetnych oper mogły dolecieć aż za Apeniny.

Po przedstawieniu kolonia włoska urządziła bankiet, na którym spełniano liczne toasty, śpiewano i muzykowano do świtu.

„*Echo muzyczne i teatralne*“ odznaczyło jubileusz Verdiego wydaniem zajmującego numeru, poświęconego jego zasługom i dziełom tworzonym w ciągu lat pięćdziesięciu.

Pod względem zapachu, z jakim Warszawiaci obchodzili tę rocznicę, możnaby ich wziąć za południowych Włochów i rodaków sławnego mistrza.

Dobrzeby było pamiętać taksamo i o swoich, gdy się sposobność nadarzy...

Wkrótce nasi melomani obchodzić będą drugi jubileusz podobny, jubileusz znakomitego wirtuoza i kompozytora, Antoniego Rubisteina, który kończy pięćdziesiąt lat pracy, sławy, tryumfów i działalności artystycznej.

Institut muzyczny, zawdzięczający mu wiele poparcia w czasach swego powstawania, zamierza urządzić wspaniały koncert na cześć jubilatów w Salach Redutowych; jedynie osoby zaproszone będą miały prawo wejścia za biletami.

I niechże nam jeszcze kto zarzuci, że nie jesteśmy muzycznymi aż do szpiku!..

Quis.

W GÓRSKIEJ KRAINIE

Inne tu serce bije... inna myśl tu błyska...
Wraca zapach, co młode opromieniał lata...
Duch biegnie uskrzydłony na strone urwiska,
Potężnym lotem orłów z chmurami się brata.

Dusza była nędzarzem, a dziś — tak bogata!
O, bo cudów przyrody, bo piękna jest blizka...
Drzy rozkosznie wśród czarów nieznanego świata.
Śród grozy najwspanialszej cudnego zjawiska.

*

Szary mrok z gór opada w kraj dolin uroczy,
A słońce w krwawej łunie namiętnie w oddali
Ostatnim pocałunkiem wierzchołki gór pali...

*

I takie cuda ziemskie oglądają oczy!
Taki blask nad czołami jaśnieje naszymi!
I takie piękno patrzy na tę nędzę ziemi!

Antoni Pilecki.

Słoneczne strony życia.

(Dalszy ciąg).

Lubbock nazwał książki przyjaciółmi, którzy nas „nigdy nie znudzą, nie zdradzą, nigdy się nas nie wyprą, pójdą z nami nawet na pustynie“ i jest-to niewątpliwie doskonałe określenie korzyści, jakie odnosimy z czytania poza jego celem głównym i pożytkiem najpierwszym rozświecania nam umysłu przez wiedzę, tym sposobem zdobywaną. Ale człowiek posiada nie tylko umysł; ma on w piersiach serce, które potrzebuje podziału uczuć z jakąś żywą, umiłowaną przez nas istotą i tak, jak jest głód umysłu, jest w człowieku i głód serca, silniejszy jeszcze od tamtego — głód na który cierpimy ciężko, jeżeli osamotnieni wśród życia, nie mamy się z kim podzielić komunią uczucia. Wiedzą o tem wszystkie sieroty, wszyscy ludzie, pozbawieni słodkich związków, zadziergniętych przez węzły serdeczne. Lubbock miłośni też słusznie przyjaźń między *rozkosze życia* i rozdział jeden książki swojej poświęca „*blogosławieństwu przyjaźni*“, mieszcząc na czele zdanie, wzięte z Cyserona: „*Ci wszyscy, którzy usunęli przyjaźń z życia swego, odjęli jakoby słońce światu, bo nie otrzymaliśmy od Nieśmiertelnych Bogów nic, coby nad to lepszem, rozkoszniejszym było.*“ Angielski pisarz ma w literaturze posługującej się tym samym, co on, językiem — w literaturze irlandzkiej, bardzo piękne, bardzo wdzięcznie wyrażone określenie tego, czem dla serc ludzkich jest przyjaźń. Moore napisał śliczny wiersz o miłości i przyjaźni, w którym poeta ostatnie to uczucie nazywa, „*miłością bez skrzydeł*“, co znaczy, że przyjaźń mogąc kochać równie gorąco, kocha obok tego stalej. Uczucie to z natury rzeczy stalzem też być może, bo nie ma w sobie przymieszki namiętności i wynika całkowicie ze źródeł współczucia, i tej sympatii ducha dla ducha, która jest najszlachetniejszym kwiatem uczuć ludzkich, ponieważ nie wchodzi tu w grę nic, coby samolubnym było.

Ztąd przed jesteśmy tu i najwolniejszymi w wyborze przedmiotu dla uczuć naszych, bo gwałt namiętności już na nas nie uderza mocami swemi, nie porywa niewolników spętanych. Lubbock cytuje dalej Sokratesa, który zastanawia się nad tem, dlaczego ambicya ludzka pyszni się nieraz z tyłu rozmaitych, dla dostojności człowieka podrzędnych rzeczy, poczynając od majątku, a kończąc nieraz na sforach psów, na koniach eugowych, a nie chlubi się z przyjaciół, godnych tego, aby ich stosunek do nas podnosił wartość naszą w oczach świata? — Jest tak i po dziś dzień dla rzeszy pospolitych, małodusznych ludzi: uważają sobie za rzecz popisu godną to tylko, co jest dowodem ich zamożności, ich wyniesienia się ponad innych przez honory i zaszczyty, z tego tylko źródła płynące, i ztąd pożądamy oni jedynie stosunków z osobami wyniesionymi wysoko przez dostatki i znaczenie, oparte na tych podstawach, pomijając wszystkie inne względy, zaszczycające człowieka. Jest to przecież oznaką, nietylko ich

osobistej nizkości ducha — źle to wróży o społeczeństwie, gdzie nędzne usposobienie takie może na wierzch wypływać. Lubbock nie dotknął w tym przedmiocie rzeczy jednej jeszcze — bardzo ważnej, ztąd zapewne, że społeczeństwo angielskie mniej, niż wszelkie inne potrzebuje tu nauki: a to łączenia się z byle kim dla przyjemności zabawy towarzyskiej, dla używania towarzyskich rozrywek. Kto splamioną rękę ścisną, plami się niewątpliwie i upadek obyczajów idzie zawsze w równej mierze z upadkiem opinii, ponieważ u ludzi prawdziwie uczciwych, u ludzi prawdziwie czystych, istnieje zawsze obok pogardy dla złych, dla zbrudzonych, i wstręt, który nie pozwala na bratanie się z nimi. Już to poniża, już to cień czarny rzuca na człowieka, który w interessa z nimi wchodzi, ale ze względu na godność naszą rzecz to stokrój więcej poniżająca, jeżeli schodzimy do tego dla rozrywki. Dowodzi to już małości takiej, że jest to atestem ubóstwa duchowego, który sami sobie wydajemy.

Historja wykazuje, że u wszystkich narodów taki brak dumy szlachetnej, takie pobłażanie złemu i zatracenie odrazy do niego, jest oznaką upadku, jest poprzednikiem ruiny. Większość już jest wśród takich społeczeństw, jeżeli nie zepsuta, to na złe spokojnie przystająca, przez brak siły odpornej, więc nie panuje już tam górne pojęcie cnoty, górne pojęcie życia wedle jego szlachetnych obowiązków pędzonego. „*Źle jest człowiekowi samemu...*“ ale stokrój mu gorzej pomiędzy ludźmi, od których nie dobrego przyjść nam nie może, bo wtedy spodziewać się trzeba, że przyjdzie złe. Ponieważ zaś szczęście nie zależy na samem unikaniu złego, ale i skarbieniu sobie dobra, więc trzeba nam zasługiwać sobie na przyjaźń ludzi od których otrzymać możemy dobro. Przyjaźń takich już jest sama w sobie dobrem; dla tego też zawieranie związków przyjaznych lekkomyślnie, można zaliczyć do rzędu najszkodliwszych płochości, i Lubbock dziwi się temu — u tych ludzi zwłaszcza, którzy nie są zupełnie bezmyślnymi. Kiedy wybór konia, psa legawego otaczany bywa troskliwą badawczością: z jakiej rasy pochodzi, jakie przymioty posiada i jakie wady może mieć w sobie ukryte? związki przyjaźni zawierają się najczęściej naoslep i są więcej dziełem przypadku, zbiegu okoliczności, niż rozumnie zastanawiającego się wyboru.

Wprawdzie zły pies może nas niebezpiecznie ukąsić; koń narowisty może się nagłe pod nami rozbiegać, z siodła nas wysadzić, lub unieść tam, gdziebyśmy znaleź się nie pragnęli; przecież nie fałszywy już i zawodny, ale tylko lekkomyślny przyjaciel może nas doprowadzić do tegosamego w zakresie innej, wyższej przeznaczeń naszych drogi. — Całe życie nasze może odczuć wpływ złego lub dobrego przyjaciela... pisze Lubbock i pyta: jak można zdawać rzecz taką na wolę losu? Towarzystwo bliźnich jest konieczną potrzebą człowieka, przecież różne są stopnie odczuwania tej potrzeby i w głębi rzeczy ludzie ciągną nam zawsze, skoro ich nie potrzebujemy.

— Dla ludzi z pustką w głowie, dla ludzi bezmyślnych przebywanie z samym sobą znaczy to samo co więzienie w celi samotnej — pisze inny myśliciel angielski, Tomasz Browne. Tacy ludzie potrzebują towarzystwa nieustannie, aby się śmiertelnie nie nudzić; ci zaś, których myśl pracuje poważnie powinni niemniej mieszać się z ludźmi, aby odpocząć i oderwać się od samych siebie. Emerson zdaje się przecież być innego zdania co do takiego „występowania poza osobistość swoją“ i pisze: „*ludzie zstępują niżej, aby się spotykać ze sobą.*“ (Men descant to meet). Zdanie to nie jest przecież usprawiedliwionem, bo ileż to ludzi musi piąć się pod górę, aby zejść się z innymi? Nie rozumie tego i Lubbock, a temu, co sądzi, że zrozumiał, przeczy. Emerson pisze, że „*wszelkie stowarzyszenie musi być kompromissem, a co gorzej, całą woń, prawdziwy aromat każdego z pięknych kwiatów natury ludzkiej znika wtedy.*“ — Co za smutna myśl! — woła Lubbock i przeczy temu, dodając, że właśnie kwiat ducha ludzkiego rozwija się wtedy najwspanialej i roztacza najżywsze, najświetniejsze barwy swoje, gdy pod słońcem uczuć przyjaźni ogrzany zostaje jej ciepłem.

Przecież wielu ludzi tak postępuje, jak gdyby pragnęli, nie zjednywać sobie przyjaciół, ale nabywać nieprzyjaciół, co jest zawsze oznaką zimnego, twardego serca. Tacy ludzie bywają też mało lubieni a życie ich jest w następstwie tego smutniejszem, niż-by być mogło. To, co Plutarch powtarza za Epiktetem, aby „nie ścisnąć zbyt wielu rąk“ nie tutaj się odnosi. Dobry człowiek zawsze będzie miał w sercu przychylną do ludzi i zawsze też otrzymuje wzajemną tę przychylną, tę miłość ludzką, o którą modlimy się w pacierzu. Lubbock odrzuca pesymistyczne to zdanie, aby w postępowaniu z przyjacielem pamiętać, że może być z niego nieprzyjacielem, ale nie gani dalszego ciągu tego axiomu, aby w nieprzyjacielem widzieć zawsze człowieka, który może być nam przyjacielem, z zastrzeżeniem przecież, jeżeli to jest osobistość, której zalety skłaniają nas do uszanowania w niej czystego życia i uczciwego charakteru.

Każdy z nas spotyka mnóstwo ludzi, którzy, jakkolwiek najgorszymi nie są, jednak do rzędu dobrych zaliczyć się nie dają, bo zajmują ich lekkomyślnie drobnostki życia, a to ich zaprzętanie się niemi sprawia, że poziom uczuć i myśli jest niższym, niż tego wymagać należy od ludzi, żyjących całą pełnią szlachetnych przymiotów natury ludzkiej. Z takimi osobistościami często przebywać i w bliższą zażyłość z niemi wchodzić jest rzeczą z tego względu mało bezpieczną, że obcowanie z niemi, niby wręcz nieszkodliwe, poniża nas zwolna przez obniżaną ciągle skalę myśli naszych, przez zaciemniające się nam przed oczyma horyzonty życia. Niema takiego człowieka, którego towarzystwo nie oddziaływałoby na nas wpływem jakimś, złym, czy dobrym, przez pociąganie myśli naszych w kierunku wyższym lub niższym. W najlepszym razie ludzie małuczki dążeń, małuczki pragnień zabierają nam przez przebywanie z niemi czas, który mógł-by być pożyteczniejszy zajęty, i są w stosunku do nas winnymi straconych w ten sposób korzyści.

Gdy raz postawimy to sobie za zasadę, że nie tylko przyjaciół, ale nawet znajomych tak dobrać należy, aby obcowanie z niemi było nam nie stratą, ale korzyścią, zabezpieczymy się od wielu możliwych nieprzyjemności i niedoborów szczęścia — niedoborów dobra. Nie należy przede wszystkim pozwolić, aby rządził tu przypadek; nie należy wchodzić z ludźmi w stosunki dlatego, że mieszkają blisko, że zajmują się tą samą, co my, gałęzią pracy, że spotkali się z nami w podróży i wyświadczyli nam jakąś przysługę drobną. Takie stosunki, są to — według słów Plutarcha — tylko „bałwanki i obrazki przyjaźni“, a nie przyjaźń rzeczywista, zawarta na podstawie godnej siebie. Wiemy wszyscy, a przynajmniej obowiązaliśmy wiedzieć, że grunt przyjaźni powinien być innej, nie tak zawodnej natury, jeżeli chcemy, aby między *rozkoszami życia* mieścił się tak w życiu naszym, jak w książce Lubbocka rozdział: „błogosławieństwo przyjaźni“.

Kto raz kochał prawdziwie, kto raz zdolnym był do głębokiej i bezinteresownej miłości, czy przyjaźni, posiada jakoby rozbudzoną już zdolność tkliwego względem ludzi uczucia. Jakkolwiek wiele się mówi o niewdzięczności i samolubstwie ludzkim, trzeba jeszcze to zbadać: czy zarzuty te nie pochodzą od tych właśnie, co nie dając sami nic, lub bardzo mało, wymagają od drugich wszystkiego? Zdarza się to bardzo, bardzo często, bo ukochanie siebie, zimny egoizm wążący na szali sądu swego tylko interes własny, żąda zawsze i bez końca ofiar — bezpłatnych. Wśród skarg, ponoszonych na ludzi, trzeba też zważać bardzo pilnie czy niema tu takich wygórowanych żądań jednostronnego poświęcenia ze strony tych właśnie, którzy przez egoizm swój najmniej miłości wzbudzając, najmniej jej odbierają. Że przecież ten, co nic nie daje lub w danym czasie nie dawał, nie ma tu prawa do niczego, jest rzeczą tak naturalną, jak to, że rolnik który nie siał, nie ma potem czego żąć. Bakon twierdził, że mało jest prawdziwych przyjaciół na świecie, zwłaszcza między równymi sobie, bo tu obie strony są jednakowo wymagające; lecz to właśnie powinno utwierdzać przyjaźń i czynić ją silniejszą, gdy równą jest miara podniosłości duchów

i ofiar zobopólnej miłości. Ten sam Bakon woła też, że „nędzą jest być samotnym i pożądać prawdziwej przyjaźni, bez której świat staje się dla nas pustynią“. Dalej dodaje, że przyjaźń rozświeca splecione kłęby myśli: „wprowadza świat pojęcia w ciemności i zamieszanie umysłu, rozpo-gadza burze i orkany uczuć. W naradzie z przyjacielem ucisza człowiek najłatwiej myśli swoje, sprawuje nad niemi rząd najlepszy, widzi jak wyglądają sformułowane w żywe słowo, staje się sam mądrzejszym, niż był, przez jedną godzinę rozmowy, niż przez dzień cały rozmyślań“.

Ale mało ludzi rozumie, co to jest rzeczywista samotność i jak daleko się rozciąga, ponieważ tłum nie jest jeszcze towarzystwem; twarze ludzkie są tylko galerią obrazów, a rozmowa brzmieniem cymbału, w którym nie dźwięczy ton miłości“.

Z tem zdaniem Lubbock nie zupełnie się zgadza, nawet całkowicie obojętny nam człowiek może budzić zajęcie i powtarza za Johnsonem, że wieczór był przyjemnie spędzonym, i jeżeli ktoś powiedzieć mógł po nim: — Nagadałem się...

Epiktet radzi dobrze nie zatrzymywać się na przedmiotach rozmowy, które nie mogą być zajmujące: „o gladiatorach, atletach, o wyścigach końskich i o jedzeniu i pićiu, co jest rzeczą zwyczajną, a szczególnie o ludziach, ganiąc ich“ ale Lubbock nie zgadza się z ostatniem zdaniem greckiego filozofa, gdy ten zakończy: „lub chwalać“. Słysząc coś dobrego o ludziach jest rzeczą miłą. Anglik podpiera się tu zdaniem Marka Aureliusza: „Jeżeli chcesz sprawić sobie rozkosz, myśl o cnotach tych, którzy żyją obok ciebie, i myśl o pracowitości jednych, o skromności drugich, o hojności trzecich i tym podobnych przymiotach u innych, bo nie tak nie pokrzepia ducha, jak przykłady cnoty tych, pomiędzy którymi żyjemy. Jak często przecież znamy tylko oblicze i dźwięk głosu tych, których nazywamy przyjaciółmi, nie wiedząc nic o ich umysłach, o ich duszach!“

(Dokończenie nastąpi.)

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI!

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywośód — Kępieński.

(Dalszy ciąg.)

— Nic nadzwyczajnego ale wskutek pisma opiekuna, pana generała Lettowa, muszą nasi mili goście do Krakowa jechać. Cóż Aśki na to powiecie?

Odmienne wrażenia odbiły się na twarzyczkach obu przyjaciółek: podczas kiedy starościanka pobladła jak chusta i bezwiednie ręką przycisnęła serce, Marysi zajaśniały oczy od wielkiej radości, której i usta, świeże jak wiśnia, utaić nie mogły.

— Gdyby nie to — rzekła — że mi przyjdzie pożegnać ten spokój miły i gościnne progi u łaskawych państwa, gdzie tyle doznałam przyjaźni, cieszyłabym się serdecznie; Krakowa dotąd nie znam, a tyle o nim słyszałam, będąc jeszcze dzieckiem, tyle mi o niem powiadano cudów, że dawno było mojem gorącym pragnieniem, aby go poznać.

— Czy to jedynie powodem twojej radości, Marysiu? — z przymówką zapytała gospodyni domu — nie masz tam innej ważniejszej przyczyny? Nie wstydz się i wyznaj: przecież jesteś zaręczoną, to nie grzech się przyznać, że tęsknisz trochę za panem Gordonem....

Rozradowana twarzyczka pułkownikówny sępniała nagle. Słowa pani Wielowiejskiej oprzytomniły ją, przypominając, że ma na palcu pierścioneń, skuwający jej życie z człowiekiem, dla

którego mogła mieć szacunek, ale nie miała miłości, ten zaś, którego kocha całą potęgą pierwszego uczucia dla niej stracony nazawsze, a po zaręczynach z majorem bez grzechu o nim myśleć nie powinna. Pomieszana i drżąca od tajonych wzruszeń, nie wiedziała na razie, co ma odpowiedzieć, szczęście, że przerwał pułkownik chwilowe milczenie.

— A jakże starościanka, wołałaby zostać? — zapytał znacząco Dzierżkówny.

— Przyznam się panu pułkownikowi, że przyzwyczajona do wsi od dzieciństwa, miasta nie znam i zupełnie do niego nie tęsknię.

— I ma Aśka racją, nie tam pięknego w tych murach zimnych i spleśniałych; trudno jednakowoż, jechać musimy, tak każe opiekun. A i moja pani niech się przygotuje — dodał Wielowiejski; zwrócony ku żonie — bo nam trzeba odprowadzić pannę a przy sposobności odwiedzić panią Radziwiłską. Zabawimy w Krakowie dni kilka, jeżeli nie dłużej, bo kto wie co tam wypaść może. Jutro wyjedziemy z awczasu: miejcie się więc panie w pogotowiu, a teraz spać się położcie, byście wywczasowane powstały. Dobranoc tymczasem, bo i ja się w drogę przygotować muszę.

Pułkownik, ucałowawszy żonę, wyszedł do siebie aby zawołać Ratułta, z którym miał długą późno w noc naradę, a co było jej przedmiotem, zapewne zobaczymy później, teraz zaś powróćmy do naszych panienek. Trudno opisać smutek, jaki ogarnął Jadwisię na tę myśl samą, że się trzeba rozstać z drogim podstolicem, kto wie na jak długo; gdybyż przynajmniej zobaczył go mogła, powiedzieć mu przy ostatniem słowie pożegnania, jak go miłuje serdecznie! jak go przez całe życie kochać będzie zawsze! gdybyż zakłębem takim mogła mu ulżyć tę chwilę rozstania i wlać nadzieję do zbolalej piersi! gdybyż go mogła natchnąć wiarą w dobroć Opatrzności, która nad biednymi, cierpiąciami czuwa i, chociaż zesła troski, darzy za to balsamem pociechy! Ona, doniedawna tak skromna i cicha, nieśmiejąca wobec podstolica zdradzić tych uczuć, co jej rozpięrały piersi; ona, co na myśl wyznania rumieniła się całą w dziewiczej skromności, — czuła dzisiaj raz pierwszy, jak się przed nią strumień miłości otworzył, porwał ją z sobą i uniośł nie wiedzieć jak i dokąd. Po dzisiejszej wieczornej z Drużbicem rozmowie przepełnił Jadwisię taki nawał szczęścia, taka duszy rozkosz, jakiej dotychczas nigdy nie doznała; sama nie wiedziała, czemu ale tak jej było później swobodnie i lekko, tak powiewnie na duszy i sercu, jakby jej zpod nóg ziemia ustąpiła, a ona jakby żywcem uleciała w niebo. I po takich chwilach szczęścia miało przyjść rozstanie, miała ukochanego utracić, może nie zobaczyć nigdy, pogrzebać nazawsze w pamięci i sercu! Nie, to być nie mogło! Bóg dobry i pełen litości: On nie dozwoli rozłączyć te dwa, dla siebie tylko bijące, serca. Pod wpływem takich myśli usunęła się Jadwisia do swojej komnatki i, zasłoniwszy oczy drobnemi rączkami, rzuciła się na kolana przed obrazem Matki Najświętszej, by jej powierzyć swe skargi w gorącej modlitwie.

Nazajutrz ranek był chłodny, ale piękny, jasny, jak zwykle u nas w pogodnej jesieni. We dworze panowała jeszcze cisza, tylko z ogrodu dochodziło świergotanie ptasząt, zmieszane ze smętnym odgłosem kościelnego dzwonu. Od stajen załatywał gwar ludzki, szcęk czyszczonych szabel i łaskot kopyt niecierpliwych koni; zresztą wszystko dopiero budziło się ze snu, wietrzyk powoli dmuchał, rozpędzając chmurki, płynące lekko po błękitnie nieba, które uśmiechało się do ziemi, wyświeżone, wdzięczne i oblewało złotemi smugami zółknijące bory i tłuste pokłady roli, czerniejące zdala.

Drużbie oddawna chodził po ogrodzie; uwiadomiony przez Ratułta o przygotowaniach do drogi, domyślił się wszystkiego, a ogarniony jakimś niedobrem przecuciem ani na chwilę nie mógł zmużyć oka. Zaledwie switało, kiedy do ogrodu wyszedł. W izbie było mu zaciasno; koniecznie potrzebował świeżego powietrza, aby lżej odetchnąć, rozerwać myśl ciężką, zrzucić choć trochę boleści, co mu przygniatała piersi, i nie

dziw, że biedny podstolic wrzał najróżnorodniejszymi uczuciami a dziwne myśli huczały mu w głowie. Z jakimś rozkosznym strachem wpatrywał się w okno komnatki Jadwisi, dotychczas milczącej, przysłoniętej firanką, pełne tajemnicy: więc łamał ręce bezwiednie i odwracał oczy, to znowu mierzył w zamyśleniu aleję grabową. Nareszcie ze wschodem słońca, które złotem niemi poczęło dzierzgać błękitne niebiosy, odsłoniła się firanka, brzęknęły szyby i w otwartym oknie pojawiła się postać Jadwisi, oblana potokami słonecznego światła. Druźbic poskoczył żwawo od alei, ale widok starościanki, posępnej i bladej, zreflektował gorączkowy pośpiech: wolnym więc krokiem zbliżył się ku oknu i drząc od wzruszenia, zerwał czapkę z głowy.

— Widzimy się nareszcie — rzekł smutno i rzewnie — a Bóg raczy wiedzieć, czy nie raz ostatni. — Jadwisia skraśniała jak dojrziała wiśnia, ale po chwili zgasły jej rumieńce, krew, zda się, kędyś do serca spłynęła, bo poczęła blednąć, blednąć, aż nagle stanęła blada tak, jak chusta: w oczach jej, które się mgłą obciągnęły, świeciły dwie duże łzy, czyste jak brylanty, tocząc się zwolna po jagodach zbladłych.

— Niezbadane dla nas są wyroki boskie — szepnęła po chwili — ale trza mieć nadzieję, że się zobaczymy. Z Marysią jedziemy teraz do Krakowa. Co się dalej stanie — nie wiem, ale mam tę niczem niezachwianą wiarę, że nie na to zbliżyły nas losy, aby za chwilę szczęścia wieczystą rozłąką kazały nam płacić. Ufajmy w łaskę Opatrzności: Bóg dobry, litościwy, On nas nie opuści; a co bądź się stanie, wierząc, podstolicu, zem cię nazawsze szczerze pokochała, że w miłość twoją dla mnie wierzę i że w nią nigdy wierzyć nie przestanę.

Uszczęśliwiony Druźbic nie mógł sam pojąć, co się z nim stało w tej chwili, ale to pewna, że wszystkie serdeczne uczucia zlały mu się w pierś: mógłby się i śmiać i płakać i iść na największy ogień bez zmruczenia oka, albo na kolana upaść przed Stwórcą wszechrzeczy i skonać bez smutku i żalu i bez żadnej skargi. Pod wpływem wzruszenia drżał jak liść osiki, czuł, że go ogarnęła niewysłowiona wdzięczność, bezgraniczna miłość dla istoty, co mu tak szczerze, bez ogródek zdradzała tajemnicę serca.

— Pani, starościanko — ściskając rączki Jadwisi przemówił nareszcie — czemże zasłużyłem, że tak mówisz do mnie? Choćbym żył lat tyle, jak ów Methuzalem, co o nim stoi w Świętym kędyś Piśmie, nie stanie mi czasu, aby ci odwdzięczyć za twe słowa słodkie.

— Jeszcze raz proszę, panie podstolicu, ufaj i nie trać nadziei a pamiętaj w każdej chwili o sercu, co, choćby było najdalej, nigdy dla Waści tętnić nie przestanie. Czas się pożegnać. Nie długo zapewne zawołają w drogę: więc zostańcie z Bogiem, panie podstolicu, niech was weźmie w opiekę Matka Częstochowska!

— Jadwisiu najdroższa nad wszystko na świecie, — jęknął nieszczerzy Jędrak, ściskając podane sobie rączki starościanki — czyż my się jeszcze obaczymy kiedy?

— Wierzmy w dobroć boską, — ja co będę mogła, zrobię, aby was zawiadomić, kędy się obracam, a wy także pamiętajcie o tem, żebym wiedziała, co się z wami dzieje.

W tej chwili dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Oddział gwardyi szykował się na dziedzińcu, odgłos kommandy i szczęk dozywanych szabel, zmieszany z lecącym od stajen gwarem i trzaskaniem bicia zmąciły melancholijną ciszę jesiennego ranka. Nie było czasu do stracenia, bo i ciężka landara, uprzężona w sześć rosłych gniadoszów, z forysem na przodzie, zajeżdżała przed ganek zbórczyckiego dworu. Z pośpiechem ucałował namiętnie Druźbic rękę starościanki a ona zarumieniona wstydem dziewczęcym, przechyliwszy się, złożyła pocałunek na czole kochanka, znikając za firanką niby niebiańskie zjawisko zprzed oczu Druźbica. Jeszcze raz spojrział podstolic ku oknu, westchnął ciężko ku ukochanej wyciągając ręce, i podążył na spotkanie pułkownika, idącego właśnie do officyn, by pożegnać gości.

W pół godziny później landara, otoczona oddziałem gwardyaków, sunęła szybko drogą ku Krakowu. Na opustoszałym dziedzińcu pozostali: Ratuł, podstolic, Malczewski, Zbrozek i Czarniecki, którzy, zwoławszy się z łózek, aby pożegnać swoje opiekunki, spoglądali teraz za landarą smutno.

— Mości panowie — rzekł posępnie Ratuł — dobrze się to stało, że nam z karku wzięto białogłowy, bo, *ni fallor*, ale te luny, co od jakiegoś czasu rozwidniają noce, coraz się bardziej do Zborzyc zbliżają. Sam pułkownik mi kazał mieć się ku obronie. *Dictum—factum*, tak zawsze u mnie bywało: trzeba więc o obronie pomyśleć, szablę wytoczyć, przestrzelić muszkiety, naprawić częstokół i wał podwyższyć dokoła ogrodu. Panowie pomyślcie o broni i kulach, którychby trza ułać, ja zaśię skoczę na wieś po parobków, pošlę Pietrka na Jaroszkówkę po tamtejszą szlachtę i wezmę się z nimi, aby umocnić palisady i podwyższyć okopy. Co w ludzkiej mocy zrobimy, — reszta zawisła od Boga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA LITERACKIE.

5. „Encyklopedia Humoru.“ O zaspokojeniu jednej z gwałtownych potrzeb społecznych pomyśleli pp. Michał Wołowski i Aleksander Pajewski: wydają *Encyklopedyę Humoru*, pierwszy jako autor-redaktor, drugi jako drukarz-nakładca. „Jak mi Bóg miły, niezli są ludzie,“ a tylko waryat lub niedołęga nie uważa śmiechu za konieczny warunek zdrowia. *Encyklopedyę* ma tedy chorych leczyć z posępności, a zdrowych wesoleści nauczać; sama przecież poczęła się z myśli nader poważnej a smutnej. Stroskany o ludzkość i o własne swe społeczeństwo, lęka się p. Wołowski „aby dzisiejsza literatura pesymizmu (!) nie rozstroiła nas i nie sprowadziła apatii.“ Tej, tak ponurej, obawie zawdzięcza byt swój tak wesole *Encyklopedyę*.

Zanim dalej w podskokach otyła trochę nymfa pobiegnie, zatrzymajmy ją przy dwóch pierwszych zeszytach. Humoru w nich już sporo. Przedewszystkiem humorystycznym jest już sam wstęp: pod pozorem nauczania drwi z czytelnika. Nazwisk tu bez liku, przytoczeń wiele; lecz: czem jest humor, jak się różniczkuje w sobie, w jakich barwach i światłocieniu się przejawia, przy jakich nastrojach duszy rozbrzmiewa? Miły czytelniku! Czytaj — nie pytaj. Cały ten wstęp przypomina pstrokaty dywan lub kołdrę pozszywaną z drobnych kawaleczków różnych materyi. Jest to przytem robota sobotnim ściegiem na niedzielny targ. Jedno z dwojga: geniusz albo praca, skoro już obojga mieć za sobą nie można. P. Wołowski nie postarał się nawet o poznanie chociażby tylko rozprawy Tyszyńskiego: byłby się z niej czegoś nauczył.

Ponieważ na określenie humorystyki polskiej potrzeba aż „olbrzymiej księgi,“ przeto p. Wołowski, jako człowiek logicznie myślący, nie widzi potrzeby „rozpisywać się nad nią szerzej“ i poprzestaje na stu wierszach — co prawda, długich — ale *stu*. Widocznie nie udało mu się pomiędzy dwiema ostatecznościami wynaleźć błogosławionego środka.

Nad układem dwóch pierwszych zeszytów zastanawiać się nie będziemy: niechaj to czynią majstrowie od humoru. Zwrócimy tylko uwagę wydawcy literackiego, że anegdota pod wyrazem „Adressy“, nie ma w sobie nic humorystycznego, a piękne trzy myśli Heinego pod wyrazem „Artyści“ przez pomyłkę tylko zabłąkać się mogły w *Encyklopedyę humoru*. Dał się też wywiesić w pole p. Wołowski jednemu ze swoich przewodników zagranicznych i umieścił jako humoreskę to, co mógł być znaleźć choćby w Plutarchu jako rzecz arcy-poważną. Cała ta rozmowa Hannibala ze Scypionem Afrykańskim jest w *Encyklopedy*

na użytek humoru przekreślona; Wielki Peonus występuje tu jako arlekin samochwalstwa.

Uciesznym anegdot jest dotychczas najmniejszej — i na ten rodzaj produkcji literackiej pada cały ciężar zasługi, jaką sobie skarbią wydawcy. Ozdobę drugiego zeszytu stanowią dwa wyjątki z *Klubu Pickwicka*.

Mało nas to obchodzi, czy sama Encyklopedia i humor w niej będą złe czy dobre; ale ze stanowiska nadzoru nad wszystkim, co drukowane, krytyka ma obowiązek wytknąć p. Wołowskiemu smutną stronę jego wesołego przedsięwzięcia. Tak *np.* niewolno jest summować „powieści“ i „turniury“ w zaimek liczebny „oboje.“ Małecki powie p. Wołowskiemu: dlaczego. Redaktor *Enyklopedy* odkrył w Reyu jakieś *Powieści przygadłe*; Kochanowski — dla niego, i tylko dla niego — pisze *Satyra, Zgodę, Proporzec* dopiero w *Czarnolesiu* (od *Czarolus*) a już po r. 1573, tworzy jakieś osobne *sonety* i umiera w r. 1580; Starowski układa popolsku *życiorysy sławnych Polaków*; Knapski sam wydaje *Idiotismi polonici* a z olbrzymim swoim *Thesaurusem* tonie w ogólniku: „oprócz ściśle naukowych (dzieł)“; Kochowski zostawia po sobie tylko *Climacter I*; Mickiewicz rodzi się w r. 1798 w Zaosiu, a katedrę literatur słowiańskich obejmuje w r. 1844. Wszystko — szczerozłota wiedza!

6. **Słowacki i Shelley.** P. Ferdynand Hösick, młody pracownik na polu literatury ojezycznej, w Nr. Nr. 13 do 18 dwutygodnika krakowskiego *Świat* zamieścił rozprawę p. t. „W Szwajcaryi, trzy lata z życia Juliusza Słowackiego“. Założeniem tej rozprawy jest wykazanie, że najpiękniejszy poemat o miłości generycznej, jakim poszczycić się może literatura nowoczesna, powstał pod wpływem Shelleya. Zaczyna p. Hösick od obszernego opowiadania podróży odbytej przez Słowackiego w r. 1835 z panią Wodzińską i jej córką Maryą, późniejszą narzeczoną Szopena. Opowiadającym jest tu sam poeta w listach swoich do matki. Te listy wraz z listami Krasińskiego o Słowackim dostarczają p. Hösickowi tworzywa do pięciu pierwszych ciągów rozprawy; pod koniec jej dopiero, w ośmnastym zeszycie *Świata*, zaczyna się dowodzenie tezy. Zapytuje p. Hösick: zkład u Słowackiego ta powiewność, eteryczność, tajemniczość, wdzięk niewysłowiony, *seraficzność*? Przed Słowackim w stylu poematu *W Szwajcaryi* nie pisał nikt. Takby się zdawało. Ale p. Hösick odkrył poetę zowiącego się *Percy Bysshe Shelley*: ten jest ojcem duchowym Słowackiego jako autora miłosnego poematu. Bierze autor nasz do ręki *Epipsygidion* — Słowacki!; bierze *Alastora* — także on!; bierze *The Witch of Atlas* (*Czarodziejkę Atlasu*) — nikt inny! A ponieważ Shelley umarł na czternaście (według p. Hösicka) lat przed napisaniem *W Szwajcaryi*, prosty przeto wniosek, że on był intelektualnym sprawcą dzieła napisanego ręką Słowackiego.

Na poparcie swej tezy przytacza p. Hösick trzy wyjątki z Shelleya w przekładach pp. Ehrenberga i Kasprowicza: one to mają naocznie wykazać wspólność rodu między myślami Polaka a Anglika. Odczytujesz je raz i drugi i trzeci, porównywasz ze Słowackim, myślisz, rozważasz, jeszcze raz przepuszczasz przez żarna krytyki: ani rusz! Krzycz jak czajka, nie przyjdzie bajka: teza p. Hösicka w umysł wejść nie chce. Może są dowody inne, gdzieś głębiej ukryte, ale te, które nateraz młody autor wy dobył, od dalszych usiłowań tylko odstręczyć mogą. Teza widocznie jeszcze nie dojrzała, a cała robota jest nadzwyczajnie pośpieszną. „Bluszczowa“ natura Słowackiego nawet Skierkę i Goplanę zawdzięcza Shelleyowi, a *Beatrice Cenci*, o której coś także i Brandes mówił przed p. Hösickiem, dowodzi młodemu autorowi najlepiej, że Shelleya znał poeta już w Rzymie. Prawdziwie lekkomyślnem jest twierdzenie, że w *Królu Duchu* naśladował Słowacki „Rokosz Islamu“; a takich słówek ograniczających, jak „poniekąd“, poważny krytyk unikać powinien. Ponieważ Shelley jest wynalazcą różnych snów srebrnych i złotych, więc i *Sen srebrny Salomei* tytuł swój zawdzięcza Shelleyowi. Po przeczytaniu rozprawy p. Hösicka może Antoni Małecki spokojnie w nowym wydaniu trzytomowego *życiorysu* powtórzyć co powiedział w pier-

szem: że poeta napisał swój poemat nad jeziorem, w Veytoux w r. 1835, a nie w Sorrento w r. 1836, jak chce autor rozprawy. Wpływu Shelleya na Sł. p. Hössick nie wykazał, ale zato własna jego rozprawa wykazała na sobie w sposób dobitny wpływ prelekcji hr. Stanisława Tarnowskiego. Szczególniej z początku mamy przed sobą jakby rozmyślnie *pastucio* z obrazów słownych słynnego profesora krakowskiego. Takasama tu metoda „od niechęcia“, takasama sztuczna naturalność, takasama dobroduszość w obchodzeniu się z *di minorum gentium*, do rzędu których, jak wiadomo, p. Tarnowski i Słowackiego zalicza. Odynieć pisał się, gdy mu o Słowackim wspomniano. Straszny jest despotyzm *szkoły*.

7. Antropologia Tylora. (Edward B. Tylor: Antropologia, wstęp do badania człowieka i cywilizacji (z rysunkami); przetłumaczyła z angielskiego Alexandra Bąkowska; Warszawa 1889 r. nakład tygodnika *Frawda*; str. XI, 1—413, I[II]—8 o). W ósm lat po wyjściu oryginału doczekaliśmy się nareszcie przekładu jednej z najbardziej zajmujących a przytem najpoważniejszych książek współczesnych. Człowiek pragnący światła, choćby wcale naukowo nie wykształcony, przeczyta *Antropologią* z nadzwyczajną łatwością, a odnieść z niej pożytek, jakiego nawet, biorąc książkę do ręki, przeczuwać nie mógł. Tylor wymaluje mu w umyśle piękny obraz cywilizacyjnego rozwoju człowieka, z pomocą mnóstwa faktów zebranych z całej kuli ziemskiej, a naukową tych faktów syntezę wyrazi, jeśli nie w jedności rodu, to w jedności duchowego mechanizmu gromadnej istoty ludzkiej bez względu na rasy i punkta osiedlenia. W istocie najgłębszej, najprostszej swych uzdolnień do życia na ziemi człowiek zawsze i wszędzie był jeden i ten sam i według też jednej i tej samej metody rozwijał swą cywilizację. Tę prawdę wyklada Tylor z prostotą i jasnością, dopuszczając do głosu same zjawiska i trudy cywilizacyjne, a wykład swój prowadzi z powściągliwością w stawianiu twierdzeń i wyciąganiu wniosków, rzetelnemu tylko rozumowi właściwą. W całej książce autora „Pierwotnej kultury“ i „Pierwiastkowych dziejów ludzkości“ niema absolutnie ani jednego zapędu tego szowinizmu przyrodzawczego dni naszych, który z taką rozkoszą w człowieku nie innego widzieć nie chce, prócz zwierzęcia lub zorganizowanej materii. W książce tajlorowskiej przeciwnie: człowiek przedstawia się wszędzie jako utajona siła inteligencji. Zaraz w drugim jej rozdziale spotykamy twierdzenie, że niema takich danych, któreby pozwalały przebyć przepaść umysłową dzielącą dzikiego najniższego od małpy choćby najwyższej. Istnieje tu zatem granica nigdy nieprzebyta, zachodzą nigdy niewyrównane różnice; człowiek na ziemi ma swoje własne królestwo bytu i tylko z innymi stworzeniami roślinie we wspólnym gruncie. „Na tej niższej podwalinie życia zwierzęcego wznosi się wspaniały przybytek mowy, nauki, sztuki i prawa.“

Poważniejszego czytelnika nie można dość zachęcić do przeczytania tej wielce nauczającej, a samowiedzę naszą, jako istot ziemskich, podnoszącej książki. W stosunku do dwóch innych wspomnianych tu dzieł Tylora przedstawia się ona jako uzupełnienie ich konieczne i, rzecz prosta, w niejednym miejscu stykać się z nimi musi. Pod względem szczegółów faktycznych, nagromadzonych w wielką pracowitością, najobszerniejszym i najbujniejszym jest wykład o sztukach użytkowych, obejmujący rozdziały VIII—XI (str. 169—269). Czyta się to jak powieść, jedynym tchem: tak silnie zaciekawia. Wybitnie też opracowanym jest rozdział XIV: „Świat Duchów“. Siedmdziesiąt ośm rysunków, pojedynczych i złożonych, objaśnia osnowę dzieła.

Tłomacz *Antropologii*, p. Alexandra Bąkowska, — przedtem już (r. 1887) przyswoiła mowie naszej Morgana „Społeczeństwo pierwotne“. Obecne tłumaczenie odznacza się czystym a dosadnym językiem i taką potocznością wyślowienia, jak gdyby nie tłumaczeniem było, ale oryginalnym pisaniem. Tylko kilka pierwszych arkuszy, widocznie w skutek pośpiechu druku, nie zadawalnia czytelnika. Całość przekładu jest pracą sumienną i po-

ważną, a dodajmy jeszcze: i taką, której wykonanie wcale łatwym nie było. Łamiąc się z trudnościami, wzbogacono język niejednym nowym wyrazem.

8. Almanzor w dramacie. P. Kazimierz Gliński, który swemi utworami poetycznymi, (był wśród nich i większy poemat *Tatry*), zasiłał przed laty *Bluszcz*, świeżo napisał tragedją pięcio-aktową z dziejów korduańskiego króla Maurów na schyłku X wieku. Część z tych dziejów wykrojona dla dramatu przedstawia Almanzora rozgorzałego miłością do Awy, hrabiny kastylskiej. Była to już kobieta czterdziestoletnia, matka dorosłego, a pustogłowego syna imieniem „Sancho Garcia“; ale miłość, o której wiemy, że często bardzo nie pyta o urodzenie, w granicach swej możliwości nie lubi także pytać i o wiek. Miłość Almanzora wraz z ręką Awy pożąda i jej państwa. W Awę to żądanie ukochanego uderza jak grom. Po przebyciu psychologicznego procesu, do którego przykłada się od siebie i czarownica, jedyną przeszkodę do szczęścia z Almanzorem dostrzega hrabina kastylska w życiu swego syna: postanawia go więc zgładzić. Przygotowała już truciznę i ma ją podać do wypicia na bankiecie przedślubnym, wobec królów, hrabiów, możnowładców hiszpańskich i Almanzora przybyłego do Burgos z dworem i rycerzami. W stanowczej przeciw chwili rozgorzała kobieta traci odwagę i sama zatruty kubek wychyla. W jednym błysku Hiszpanie rzucają się, najpierw słowem, potem orężem, na *Almanzora*, oskarżając go o truciicielstwo. Czysta przecież natura Maura była i w tej sprawie niewinna. Rozpala się walka, z początku dla Maurów pomyślna; ale później, jakoby wskutek odstąpienia demona, — który wylądł się tylko w wyobraźniach chrześcijańskich na upośledzenie Islamu, — szczęście przechodzi do Chrześcijan. W historycznej bitwie pod Calat-Nassurem, ukazanej czytelnikowi w samym dramacie, Almanzor wraca do Korduby i ze śmiertelnymi ranami na ciele i duszy, w romantyczną mgłę niemocy spowity, wali się w grób.

Owego demona uosobił p. Gliński w przyrodnim bracie Almanzora, synu niewolnicy, Nuradynie. Miłość znowu tego Nuradyna ku Aminie, miejscowej kochance Almanzora, oraz żądza wydarcia władzy panującemu bratu wytwarzają dramat dodatkowy, wplątujący się w główną przygodę tragiczną. Autor ukazał czytelnikowi, nie bez właściwej umiejętności artystycznej, lud zarówno arabski jak celtyberyjski, i na sceny ludowe nakładł grubo farb jaskrawych, — i jak jeszcze jaskrawych! Shakespeare ciągle jeszcze spać ludziom nie daje, nawet w utworach, które ze względu na swój temat, raczej kalderońskiego, niż szekspirowskiego, stylu się dopominają. *Almanzor* wszakże nie jest w swoim całokształcie ani szekspirowskim, ani rodzajowym; nie jest też i historycznym: przeważa w nim romantyzm na dowolnie dobraną przygodę nawinięty; ku romantyzmowi przechyla go stanowczo sam Almanzor, przy pomocy takich scen, jak z Aminą, z Awą, u Czarownicy, dalej na bankiecie i przed chwilą skonania.

Więcej jest poezji w wierszach, odczuwających Słowackiego, niż dramatyczności w charakterach; ale dramat p. Glińskiego przeczytać można nawet z dodatkiem wrażeniem, jeśli tylko wstrętne truciicielstwo zatrze się we wrażliwości, a dosadność realistyczna w kilku miejscach przedstawi się jedynie jako naleciałość mechaniczna, bez trudu strząsnąć się z utworu dająca. Oj, ten realizm! Słowacki nazwałby go dziś walenrodyzmem sztuki. — Wszystko się realizmem nazywa, nawet taka obmierzłość, jak na str. 6 (Yezyd) na str. 38 (Awa) 41 (także ona — do syna!) i t. d.

Almanzor ujrzał pierwszy druk w *Ateneum* z roku bieżącego. W odbiciu z tego miesięcznika wyszedł osobno (str. 99, 8-o; — Warszawa, 1889 druk K. Kowalewskiego).

LIST Z NIEMIEC.

Październik 1889.

Przedwczesna jesień. — Pogoda a Niemcy. — Zdrowa dusza w zdrowym ciele. — Dzieci niemieckie. — Opieka nad dziećmi. — Kolonie letnie. — Uroczystość dla dzieci. — Legioniści francuzcy i koloniści niemieccy. — Dziecko robotnika i cesarzowa. — Opieka nad kobietami. — Stanowisko rządu wobec emancypacji kobiet. — Wyższe zakłady naukowe żeńskie. — Wychowanie kobiet. — Wykształcenie praktyczne kobiet. — Kursa realne dla kobiet. — Ciekawa broszurka. — Kobiety i socjalizm. — „Haushaltungsschulen“. — Szczyt optymizmu

(Dokończenie)

Lecz ani rząd, ani społeczeństwo nie poprzestaje tu na opiekowaniu się małoletnimi: owszem, z rozumnej rady i opieki korzystają i dorosli, szczególnie zaś w ostatnich czasach zajmować się tu zaczynają losem tych, którzy opieki tej najbardziej potrzebują. Bo jeśli bismarkowska reforma socjalna ubezpieczenia robotników etc. są do pewnego stopnia chybnymi przedsięwzięciami, gdyż spraw takich przy zielonym stoliku rozwiązywać nie można, to z drugiej strony nie podobna uznania odmówić staraniom, mającym na celu polepszenie bytu kobiet pracujących. Nad reformą praw kobiecych, piękną wprawdzie w teorii, lecz w praktyce do niepożądanego pod wielu względami konsekwencji prowadzącą, nikt się tutaj poważnie nie zastanawia, a najmniej rząd. Zwolennicy emancypacji kobiet sztarmowali już do sejmku, do parlamentu, wysyłali deputacje do osób z domu panującego, aż nareszcie jedno z bardziej wpływowych stowarzyszeń kobiecych, którego członkinie z całej monarchii się rekrutują, postanowiło, nie tracąc otuchy, petycyonować do rządów pojedynczych państw do związku należących; ale i ta próba pozostała bezskuteczna, bo oto w tych dniach właśnie saski minister oświaty petycją dam domagających się w zasadzie dopuszczenia kobiet do uczęszczania na kursa uniwersyteckie, odrzucił, motywując rezolucją swoją brakiem istotnej potrzeby zadośćuczynienia jej.

Lecz za to istnieje tu coniemiarą zakładów naukowych bądź to prywatnych, bądź rządowych, z których kobiety wynieść mogą wiadomości rzeczywiste przydać im się mogące w życiu praktycznym. Wychowanie dziewcząt jest, niestety, nietylko u nas, lecz nawet u innych narodów, wyżej od nas na szczeblu cywilizacyjnym stojących, jednym z najbardziej zaniedbanych obowiązków społecznych. Jest to fakt znany, a tem smutniejszy, że wobec potężnego wpływu, jaki kobiety wywierają na wychowanie dorastającego pokolenia, naród cały na tem cierpi. Ani fizjologiczna, ani psychiczna różnica pomiędzy obiema płciami nie usprawiedliwia obecnego jednostronnego kierunku w edukacji dziewcząt, — kierunku, który rozwija uczuciowość zbyteczną, mało tylko kształcą umysł i charakter, podczas gdy głównem zadaniem racjonalnego wychowania jest kształcenie umysłu i przyzwyczajanie do samodzielnego, logicznego myślenia. Kobięcość, „das ewig Weibliche“, nie straciłaby na tem bynajmniej. Gruntownego, realnego wykształcenia kobiet domaga się zresztą i samo życie praktyczne, tyle kobiet zmuszając do przebijania się przez świat o własnych siłach, czego, wobec coraz bardziej wzmagającej się walki o byt i konkurencji z mężczyznami, li tylko gruntownem dopięć można wykształceniem. Są tu zakłady dla kobiet jak „Humboldt - Akademie“ i „Victoria Lyceum“, w których wykładają nauki ścisłe i literaturę, lecz nie było dotychczas zakładu, w którymby się kobiety wykształciły w elementarnych zasadach nauk realnych. Ażeby lukę tę zapełnić, otworzono tu w tych dniach nowy wyższy zakład naukowy pod nazwą „Kursów realnych dla kobiet“, w którym działać będą pierwszorzędne siły naukowe i pedagogiczne Berlina. Ale — co najważniejsze i charakterystyczne dla stosunków tutejszych — zakład ten, pozostający, jak wiele innych tego rodzaju, pod protektorem owdowiałej cesarzowej

Wiktoryi, powstał bez współdziałania mężczyzn, li tylko ze środków i z inicjatywy kobiet.

Niemniej od naukowego i umysłowego wychowania kobiety ważną jest sprawa, stanowiąca treść wyszłej niedawno z druku broszury starego pedagoga *d-ra Ernesti*. Znany zaszczytnie na polu wychowania młodzieży żeńskiej autor w sposób ścisły i jasny przemawia za koniecznością gruntowniejszego aniżeli dotychczas wykształcenia dziewcząt klas niższych *pod względem gospodarskim* i podaje środki, za pomocą których dopięć można tego celu. Ożywiony najlepszymi chęciami, autor zadaleko może cokolwiek sięga, dowodząc, że coraz większy rozwój socjalizmu ma swoje źródło po części w braku gospodarności wśród żon robotników, które, przed zamążpójściem swoim zmuszone w fabrykach pracować, nie znajdując czasu do zajmowania się sprawami gospodarskimi, skutkiem czego niejednokrotnie bywa niezgodna, nędzna i źle wychowanie dzieci. Autor sądzi, że rząd tylko mógłby źle usunąć, zakładając dla dziewcząt pracujących w wieku od 14 do 17 lat coś w rodzaju szkół gospodarskich „Haushaltungsschulen.“ We wschodnich prowincjach monarchii istnieją dla chłopców podobne szkoły pod nazwą „Fortbildungsschulen.“ do których uczęszczanie obowiązkowe jest dla wszystkich terminatorów w wieku od 14 do 18 lat. Nie chcę nudzić łaskawych czytelników powtarzaniem tu wywodów Ernestiego ani proponowanego przezeń programu. Jako *curiosum* tylko zaznaczam optymistyczne nadzieje autora, przekonanego, że po wprowadzeniu w życie szkół takich raz nazawsze zniknie z widowni świata widmo socjalizmu.

Nie dzieląc bynajmniej optymistycznych tych poglądów, uważam jednakże myśl autora za godną ogólnego poparcia wszystkich tych, którym leży na sercu polepszenie bytu robotników. Sprawa ta, wobec energii i ofiarności Niemców w sprawach publicznych, niedługo chyba czekać będzie na urzeczywistnienie.

Warszawianka.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Sztuka być zdrowym.

Prof. Mantegazza.

(Ciąg dalszy ob. № 45).

Przedewszystkiem trzeba przy fizycznym wykształceniu (u nas tylko kształcą umysłowo!) zwracać uwagę na organa oddychania;

należy, oile możności, rozwijać systematycznie;

gymnastykować, prowadzić na spacerach za miasto, uczyć deklamacji, śpiewu, kazać głośno czytać;

jeżeli w bliskości znajduje się morze albo jezioro, wiosłować;

podczas lata robić obmywanie całego ciała zimną wodą i nosić przez cały rok fanelową koszulkę;

W razie zoiłów kąpać się codziennie w morzu, albo, jeżeli środki na to nie pozwalają, brać słone kąpiele w wannie;

pić codziennie, przed jedzeniem, począwszy od Listopada do wiosny, po 1-ej łyżce tranu z dodatkami niewielkiej ilości soli kuchennej;

żyć różnorodnymi i pożywnymi pokarmami z nieznaną ilością wina, a jeszcze lepiej, dobrego piwa.

Nie wolno jednakże przy tem zapominać zdania Talleyranda: „Pas trop de zèle.“ Albowiem jeżeli będziemy stosowali zbyt zimne kąpiele albo obmywania, nie wyczerpując należycie po przechadzkach, jeżeli będziemy pili tyle tranu, że wywołamy niestrawność, a gymnastykować się zechcemy aż do naderwania sił, to, naturalnie, wpadniemy z deszczu pod rynnę.

Co do klimatu, to nie odgrywa on w tych rzeczach ważnej roli, albowiem nie idzie tu o wyleczenie z suchot (dziś, chociaż rzadko, suchoty się leczą) tylko o usunięcie skłonności do nich, a w takich razach główną rzeczą jest to, aby klimat nie był bagnisty, zbyt gorący lub chłodny, z wielkimi zmianami temperatury.

Bogatą powinna być roślinność. Dziecko powinno przebywać za miastem albo przynajmniej w ogrodzie, aby oile możności, jaknajwięcej zieloności mieć pod stopami i nad głową.

Lepiej zostać rolnikiem, niż rzemieślnikiem; lepiej być ogrodnikiem niż krawcem.

Unikać należy palenia tytoniu i wszystkich wpływów mogących osłabiać organizm.

Młodzieńcom trzeba powtarzać od rana do wieczora, aby nie palili tytoniu. Młodzież z biedniejszych klas ludności niejednokrotnie zapadała i ginęła na suchoty, z powodu palenia papierosów w okresie rozwoju.

Kobiety chore na płuca, lub pochodzące od rodziców dotkniętych suchotami, nie powinny w żadnym razie karmić swych dzieci: byłoby to z ich strony przestępstwem. Maggiorani w tej kwestyi tak się wyraża:

„Jeżeli nie pozwalamy matce dotkniętej suchotami karmić swego dziecka, a oddajemy je mamce młodej i zdrowej, mającej dostateczną ilość pokarmu, która miała parę zdrowych własnych dzieci, to czynimy pierwszy krok na drodze do powstrzymania szerzenia się suchot.“

Ważne znaczenie przypisuje Mantegazza mleku jako pokarmowi, nie radzi jednakże wyłącznie żywić się nabiałem, lecz według Fonssagrives'a trzymać się diety, w której wszystkie napoje zastąpione są przez mleko. Zaleca również kumys i w tym celu radzi udawać się do miejscowości, gdzie go wyrabiają z mleka kłaczy¹⁾.

Dla nas obraz suchot płucnych, jak go naszkicował znakomity uczoney włoski, może się wydać zbyt jaskrawym; my bowiem, dzięki Bogu, nie mamy jeszcze chronicznej epidemii suchot płucnych, chociaż procent śmiertelności jest już dziś bardzo wielki; lecz wyznać trzeba, że jest to obraz z fotograficzną ścisłością zdjęty ze społeczeństw, w których suchotnice tańczą „taniec brzucha“ a suchotnicy płacą i klaszczą, patrząc na te smutne popisy.

Następnie Mantegazza poświęca osobny oddział chorobom krwi.

Krew może być zupełnie zdrową i wypełniać swe rozliczne funkcje jedynie przy następujących warunkach:

powinna otrzymywać z przewodu pokarmowego właściwy materiał dla żywienia wszystkich organów i tkanek—i

powinna w sposób właściwy, bez przeszkód, wydzielać wszelkie substancje zbyteczne, jakie otrzymuje, przebiegając tkanki i organa.

Krew może spowodować chorobę, zarówno wówczas, gdy wyrabianie jej jest nieprawidłowe a także, gdy rozchód nie odbywa się w sposób właściwy. Równowaga między temi dwoma processami, odbywającymi się we krwi, jest warunkiem niezbędnym zdrowia. Rozumie się, że lepiej, gdy przychód przewyższa nieco rozchód, wówczas bowiem można w ministerjum finansów organizmu robić zapasy na nieprzewidziane wypadki, jakimi są praca i zabawy.

Krew nasza wydziela produkt, zużyte lub nieprzydatne dla organizmu, za pośrednictwem płuc, nerek, wątroby i skóry.

Do rzędu produktów takich między innymi należy kwas moczowy, który, jeżeli wytwarza się w zbyt wielkiej ilości, spowodować może reumatyzm, zapalenie stawów i kamienie.

Ma to miejsce u osób podlegających zaziębieniu, najczęściej jednakże skutkiem nadmiaru w jedzeniu pokarmów mięsnych i używaniu napojów wysokokalorycznych.

Znając przyczyny reumatyzmów, pedogry, kamieni, można z łatwością im zapobiedz.

Wyznać należy, iż często dzieci reumatyków i pedogryków dziedziczą usposobienie do zapada-

nia na te choroby, i z tego względu potrzeba od młodych lat przedsięwziąć środki zaradcze.

Otóż, aby zapobiec nadmiernemu wytwarzaniu się kwasu moczowego, należy przedewszystkiem być umiarkowanym w jedzeniu i piciu, a dalej utrzymywać skórę w stanie normalnym, aby w ten sposób ułatwiać wydzielenie się owej zbywającej substancji organicznej.

Pokarm osób cierpiących na reumatyzm powinien być przeważnie roślinny i łatwo strawny. Wina pić można tyle, ile to jest niezbędnem dla spraw życiowych.

Doskonale rozumiem — pisze włoski profesor — że jest to wielka ofiara. Lecz z drugiej strony: czyż nie lepiej ponieść ją, niż być bezustannie przykutym do łóżka lub kanapy i wdychać ciężko przy każdym poruszeniu palca?

Ludzie dotknięci temi cierpieniami słyszą zazwyczaj okrzyki, jakie oddają alkalia, i skutkiem tego wystrzegają się sałat i wszelkiego rodzaju owoców, a przedewszystkiem pokarmów kwaśnych. Jest to gruby błąd: kwasy i owoce kwaśne, takie: jak porzeczki lekko kwaskowate, jak poziomki i t. p., są bardzo pożyteczne; już wielki Linneusz spożywał wielką ilość poziomek dla uwolnienia się od męczących go ataków pedogry.

Maggiorani w tym względzie powiada: „Jabłka, poziomki, wiśnie, śliwki, brzoskwinie i w ogólności owoce tego rodzaju, ułatwiają rozszczepianie się substancji białkowych, odświeżają krew, a pomimo to, że są mniej pożywne, aniżeli pokarmy mączkowe, posiadają nad temi ostatnimi tę wyższość, iż odciągają od krwi nadmiar tłuszczu. Jakkolwiek obfite jedzenie tych owoców nie może być zalecane osobom dotkniętym cierpieniami przewodu pokarmowego, stanowią one jednak znakomity środek zapobiegawczy w tych wypadkach, w których spotykamy skłonność do zapadania na choroby zapalne, pedogry i kamieni. Prócz tego działają one skutecznie, w odtłuszczeniu tak całego organizmu, jak i pojedynczych stłuszczonych organów.“

Mantegazza zaleca jeszcze prócz tego picie znacznej ilości wody, gdy dostrzeżono pierwsze objawy zbliżającego się ataku.

Doniosłego znaczenia dla reumatyków są kąpiele. Wszyscy oni nie znoszą, ani rzecznych, ani morskich, a pomimo to, należy utrzymać skórę w stanie, aby mogła prawidłowo funkcjonować. Dlatego autor nasz zaleca łaźnie, pomiędzy innymi także i tureckie, a również kąpiele błotne uważa za bardzo korzystne. Utrzymuje Mantegazza, iż osoby, które raz przebyły reumatyzm, powinny corocznie podczas lata brać pewną ilość wanień błotnych w celu zapobieżenia nowym atakom. Zaleca także wszystkim nosić przez cały rok koszulkę fanelową a w początkach wiosny i jesieni pić alkaliczne wody mineralne. Osoby zaś cierpiące na silne ataki pedogryczne albo kamieni powinny odbywać kurację w Karlsbadzie albo Vichy.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Magistrat miasta Kalisza przyznał na rocznym zebraniu swoim nagrody za długoletnią, uczciwie spełnianą służbę w jednej rodzinie siedmiu mieszkankom tamtejszym. Z zapisu Kozłowskiego otrzymały: Maryanna Piasecka za 24 lat służby u p. Habermanowej, Anna Hessak za lat blisko 20 służby u p. Stańczukowskiej; Katarzyna Debrowska za lat 19 służby u p. Fuldowej, Józefa Kasprowicza za lat 15 służby u p. Mereckiego — po 66 rs. Z zapisu Aleksjusza otrzymały: Józefa Wyżgała za lat 13 służby u p. Choińskiej, Katarzyna Bartolik za lat 12 służby u p. Gilgowej, Katarzyna Kasprzycka za lat 10 służby u p. Witowskiej — po rs. 10. Roz-

1) Sławuta, zakład Dr. Dobrzyckiego.

danie nagród odbyło się uroczystie wobec zaproszonych na ten akt obywateli miasta, co jest rzeczą dobrze pomyślaną, jako należne uczczenie za usługi za spełniany ucziwie obowiązek, przez okazane mu współczucie. Dodać trzeba, że na tę nagrodę; na wyraz publicznego szacunku, zasługują tu niemniej pracodawczynie owych nagrodzonych, bo musi być niewątpliwie dobrą i rozsądną kobietą ta gospodyni domu, w którym domownicy tak długo utrzymać się mogą. Tylko u dobrych państwa są dobre służki.

— Szkoła sług, której utworzenie w mieście naszym jest zamierzone, może korzystać z zapisu uczynionego na ten cel przed kilkunastu laty przez ś. p. Anielę z Nowakowskich Kostrzyniecką. Złożona jest z tem przeznaczeniem w Banku Polskim summa 3.000 rs. z zastrzeżeniem, że otrzyma ją wraz z procentami ten, kto pierwszy szkołę taką w Warszawie założy i przez lat trzy prowadzić ją będzie należycie. Gdyby przez lat 20 od daty uczynionego zapisu szkoła nie została założoną, lub nie odpowiedziała jego warunkom, legat upada i pieniądze przechodzą w ręce naturalnych spadkobierców testatorki. „Kuryer Warszawski“ twierdzi, że termin prekluzyjny jeszcze nie zapadł.

— „Gazeta Radomska“ podniosła przez swego redaktora, H. Wróblewskiego, „kwestyą pracownic igły“, których los jest w miastach mniejszych ciężką walką z życiem, zwłaszcza w chwilach choroby lub bezrobocia. Brak zasobów zmusza je wtedy zwracać się o pożyczkę do lichwiarzy, wyzyskujących je okrutnie, co przecież mogło-by zostać usuniętem, gdyby istniał w mieście sklep, gdzieby robotnice mogły prace swoje składać, otrzymując na nie zaliczkę i gdzieby osoby potrzebujące przedmiotów z zakresu pracy kobiecej zwracały się z obstalunkami. Taką-to właśnie instytucją jest „Bazar wyrobów kobiecych“ założony w mieście naszym na początku bieżącego roku przez grono kobiet dobrej woli z p. Maryą Olszewską na czele. Na wzór bazaru warszawskiego, którego sklep mieści się przy ulicy Wierzbowej, został założony bazar taki w Ciechanowie i jest w projekcie, aby Bazar Warszawski miał filię w Łodzi. W Lublinie funkcje podobną spełnia od lat kilku sklep p. Wandy Majewskiej, gdzie za niewielką opłatą komissowego, a nieraz nawet bezpłatnie, przyjmują się z jednej strony roboty od pracownic, z drugiej zamówienia na nie. Powodzenie takich bazarów zależy przecież, nie tylko od publiczności, skoro ta, pomijając przedsiębierców pracy, wręcz się odnosi do robotnicy przez sympatyę, jaka się należy pracy mozolnej a zwykle mało korzystnej; praktyczność i staranność tej robotnicy decyduje o pokupności przedmiotów jej pracy.

„Gazeta Lubelska“, rozbierając rzecz, dodaje, że bazyry powinny przede wszystkim otworzyć sobie rynki zbytu poza krajem, z czem jednak śpieszyć się należy, aby drogi handlowe nie poszły mimo nas. Dobroć towaru na zbyt wysyłanego, powinna też być bardzo starannie skrutynowana, bo to decyduje o dalszych stosunkach.

— Opis gospodarstwa w Wysokiem Litewskiem hr. Maryi Potockiej, złożony Komitetowi Wystawy Paryzkiej przy okazach nasion zboża i roślin pastewnych, za które pani ta otrzymała medal złoty, podobnie jak na wystawie warszawskiej, wileńskiej i charkowskiej, zawiera szczegóły bardzo zajmujące. Ziemi ornej, oddanej uprawie, posiada tam dwór 5.200 mórg i z tego obszaru zbiera 7.600 centnarów ziarna różnego zboża i roślin pastewnych, hodowanych wyłącznie jako nasiona. Tylko pozostałość, niedająca się spieniężyć w tem znaczeniu, obraca się na zwykły użytek. Z trzech kłosów pszenicy

francuzkiej uzyskano tam najcenniejszą odmianę pszenicy białej; z garści pszenicy włoskiej „Magenta“—wysoko cenioną pszenicę czerwoną; z pewnego gatunku pospolitej pszenicy litewskiej wyhodowano poprawny gatunek gruboziarnistej pszenicy białej, która w handlu nosi miano: „wysokiej-litewki“. Pokup na nasiona jest tak znaczny, że w bieżącym roku już w miesiącu Sierpniu nie na zbyt nie miano.

— W Krakowskim Muzeum techniczno-przemysłowem, D-ra Baranieckiego wykłady dla kobiet rozpoczęły się w dniu 7 Listopada, a jest to dwudziesty już rok tych wykładów, które mają znaczenie uniwersyteckich i są obsługiwane przez pierwszorzędne siły naukowe. W roku bieżącym wykladać będą:

Na „Wydziale Przyrodniczym“. Dr. Wierzbicki, adjunkt krak. obserwatorium astronomicznego, astronomią popularną. Dr. Wład. Szajnicha, prof. uniw. Jagiel., mineralogią i geologią. Dr. J. Rastafiński botanikę; p. Konst. Jelski, kustosz zbiorów przyrodniczych Krak. Akademii Umiej., zoologią; Dr. Fran. Tomaszewski, prof. gimn. S-tej Anny, fizykę doświadczalną. Dr. Bandrowski, prof. szkoły techniczno-przemysł., docent Uniw. Jagiel., chemią; Dr. Kaz Grabowski, docent Uniw. Jagiel., higienę popularną.

Na „Wydziale Hist. Literackim“. Przedmioty stałe są: Literaturę pol. wyklada Maryan Dubiecki; Literaturę powsz. Gustaw Ehrenberg. Dr. Lewicki, prof. Uniw. Jagiel. historią. Dr. Aug. Sokołowski Hist. Powszechną nowych czasów. Andrzej Niziol, dyrektor semin. nauczycielskiego, pedagogikę. W miejsce wykładanej dawniej estetyki, wprowadzoną została historia sztuki.

Przedmioty niestałe: Prof. Szkoły Sztuk Pięk. Wład. Łuszczkiewicz: „O harmonii barw“ Dr. Malinowski prof. Uniw. Jagiel.: „Wiadomości o początkach piśmiennictw Słowiańskich.“ Architekt J. Wdowiszewski, Kustosz Muzeum Przem. Techn.: „O estetycznym urządzeniu mieszkań średnio-zamożnych rodzin.“ Inne wykłady w tym dziale nie dają się na razie wyszczególnić, ogłoszone przecież będą we właściwym czasie.

Na „Wydziale Sztuk Pięknych“ wykladać będą: Dr. Kopernicki, prof. Uniw. Jagiel.: „O budowie i proporcjach ciała, o kształtach zewnętrznych, o postawie i ruchach w danej chwili akcyi“. J. Rotter dyr. szkoły przem. krakowskiej, perspektywę malarską. Arch. Wdowiszewski: „Hist. sztuki, wraz z nauką o stylach, a to dla uczennic oddziałów rysunkowych, dla słuchaczek Wydz. literacko-historycznego, i dla szerszej publiczności.“ Wydział sztuk pięknych zostanie uzupełniony wykładami: „Teorii ornamentyki i jej stosowania.“

Oddziałów rysunkowych wolnорęcznych jest pięć. W oddziale pierwszym malarstwa olejnego i akwarelowego, rysunku z gipsów, z martwej i żywej natury udziela malarz Rossowski; w drugim oddziale rysunku ze wzorów i gipsów, w czwartym oddziale rysunku figur z gipsu dla uczennic oddziału 1-go udziela J. Siedlecki, w trzecim — p. Marya Meleniewska. W oddziale piątym nauka rysunków niedzielnych rozpocznie się po Nowym Roku. Rysunku krajozrazów ze wzoru udzielają w godzinach lekcyj swoich kierujący oddziałami. W miesiącach letnich oddział będzie istniał samodzielnie, kształcąc w rysunkach z natury. Dla uczennic oddających się malarstwu olejnemu otwartym będzie w razie potrzeby osobny „oddział kompozycji“. W oddziale I-ym „rysunku geometrycznego, poprzedzonego nauką geometrii i zastosowania tegoż do przemysłu, ornamentyki i życia codziennego, wraz z nauką o cieniach własnych i rzucanych“

udzielać będzie Dr. Wierzbicki, również jak i w oddziale II-go rysunków linearych, nauki lawowania, nakładania kolorami i t. d. Rozpoczęcie tych lekcyj, oraz kaligrafii ozdobnej i drzeworytnictwa, zależeć będzie od zapisania się dostatecznej liczby uczennic.

W szkole rzeźbiarstwa udziela modelowania w glinie rzeźbiarz M. Gujski, początkującym zaś Ant. Roźniatowska. Główny kierunek nad wydziałem sztuk ma, jak i lat poprzednich, Dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych, Matejko. Na „Wydziale handlowym“ rozpoczną się wykłady wtedy, gdy zbierze się uczennic dwanaście. Wykłady obejmują: rachunkowość handlową wraz z nauką o miarach i wagach; prowadzenie ksiąg handlowych pojedyncze i podwójne, wraz z nauką o wekslach i papierach publicznych; korespondencją handlową. W razie żądań kurs może być uzupełniony towaroznawstwem, geografją handlową, zarysem prawa handlowego i ustawy przemysłowej. Na „Wydziale gospodarczym“ Kazimierz Lange wykladać będzie: Kobięce gospodarstwo domowe. Rybactwo krajowe i gospodarstwo rybne (rzecz mogąca się okazać wielce pożyteczną) obok tego i inne wykłady z tego zakresu rozpoczną się z początkiem Maja, jeżeli liczba uczennic okaże się dostateczną. Lekcje języków: francuzkiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego, są zawisłe od liczby zapisanych uczennic. Języka francuzkiego i literatury udziela nauczyciel tych przedmiotów w uniwersytecie Jagiel.: Erard Cichomski. Lekcje i arytmetyki udzielać będzie, jak i lat zeszłych, Dr. Wierzbicki.

Program, jak widzimy, szeroki i można się tu nauczyć bardzo wiele — tyle, ile się nie zyska nieraz na wykładach uniwersyteckich, w Zurychu na przykład, a tło ogólne rozwinięcia pojęć i rozświecenia umysłu nieskończenie — nieskończenie wyższe. Dla nauczycielek szczególnie jest to szkoła najlepsza i matki powinny pamiętać o tem. Nauka to nie tylko jakaś ilość wiadomości, ale ześrodkowanie ich w całość pewną — mniej, lub więcej przynoszącą kobiecie. Bywa tu czasem i deficyt — więcej się traci niż zyskuje.

W przeszłą kronikę wcisnęła się niedokładność: wyroby terrakotowe p. Andriollowej nie były wystawione na francuzkiej wystawie sztuki, zwanej: *Salon*, ale w naszym warszawskim „salonie artystycznym“ na Nowym Świecie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się Arkusz 3-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

OGŁOSZENIE.

1-sza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA.

Kurs nauki koronek gospodarskich i gupiur rozpocznie się 1 Listopada. Nauka koronek starożytnych Walancien, Weneckich oraz naprawa koronek i gobelin 1 Grudnia. Zapis odbywa się od godziny 12½ do 1½ z południa we Wtorki i Czwartki. Desenie różne i wszelkie przybory potrzebne do wyrobu koronek, można nabyć w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście Nr. 42 m. 3.

TREŚĆ: Pogawęda. — Wiersz. przez Antoniego Pileckiego. — Słoneczne strony życia. — Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Echa literackie. — List z Niemiec. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Sztuka być zdrowym. Prof. Mantegazza. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**